

JUREK FRYCKOWSKI

T R E N Y

Motto:

Matko,
wstrzymałaś oddech,
aby nie zdmuchnąć
mojej wiary w Boga.

Redakcja i korekta: autor.

Projekt okładki i opracowanie graficzne: Klara Stolp.

Specjalne podziękowania dla Pani Marii Grodzickiej z Gdyni.

Zrealizowano przy pomocy finansowej Województwa Pomorskiego



Województwo Pomorskie

e-mail autora: jerzy-fryckowski@wp.pl

ISBN 978-83-64922-87-9

Wydawca:

BUK
WYDAWNICTWO

wyróżnione Medalem „PRO PATRIA”
ul. Tygrysia 50, Sobolewo
15-509 Białystok
tel. 85 868 40 60

Druk i oprawa:

biały
drukarnia **kruk**

Drukarnia Biały Kruk Milewscy sp.j.
ul. Tygrysia 50, Sobolewo
15-509 Białystok
tel. 85 74 04 704
e-mail: drukarnia@bialykruk.com



PROLOG

Gdzie się podziałaś Mała Księżniczko
z mych kolorowych dzieciństwa książek?
Wróc chwile życia swoim trzewiczkom.
Niech ujrzę Cię ja – Twój Mały Książę.

Powiedz Księżniczko, gdzie jest piosenka,
którą przed mym snem miałaś na ustach?
Dziś nad pamięcią powoli klękam
i wypłukuję z łez oczu lustra.

Stronice wspomnień darmo otwieram.
Bajka o życiu jakże nietrwała.
Mówiłaś: „*Księżna tak nie umiera*”.
Powiedz, dlaczego mnie okłamałaś?

Czemu śpiewając ponad kołyską,
nie dośpiewałaś ostatniej strofy,
że śmierć za bajką tuż stoi blisko,
a dół cmentarny kopią kilofy.

Może stawiając w kondukcie kroki,
bym na kolana nigdy nie upadł,
gdy śmierć zabrała w białe obłoki
mojej Księżniczki zimnego trupa.

TREN I

Matko, to słowo martwe, daremnie Cię wołam,
kołyszę dziś złudzenia skrawkiem odpowiedzi,
gdy Ty już klęczysz w niebie, przed Bogiem w spowiedzi,
a milczenie jak błazen drwi ze mnie dokoła.

Tam Ci niebieski anioł krzyż uczyni z miedzi,
powiesi go stroną snu na cierpienia kołach
i sam najjaśniejszy Bóg swym wzrokiem sokoła
na wszystkich rajszych ścieżkach będzie Ciebie śledził.

I chociaż będę wołał nawet tysiąc razy,
zwykłego słowa *Matko* nie podwoję echem.
Powrócą tylko falą fotografie twarzy.

Tej kochanej od zawsze, z matczynym uśmiechem.
Czyli kiedyś będę dla mnie pożółkłe obrazy?
Mocniejszym biciem serca? Milczenia bezdechem?

TREN II

Matko, spoczęłaś martwa w szpitalnej kostnicy.
Twe mięśnie skamieniały bolesnym marmurem,
jak pomnik poświęcenia, okryty kapturem
przed odświętną odstoną na głównej ulicy.

Jak mam podejść do Ciebie, gdy ktoś stoi murem?
Tutaj z uczuciem syna nikt nie zwykł się liczyć,
ale kiedy zadzwonię dźwiękami mennicy,
będę mógł cieszyć oczy znanym mi konturem.

Chłód posadzki zabrał Ci tę godność człowieka,
gdy nikt jeszcze nie orzekł o karze i winie.
Tu wesoło dzwoni szkło. Na zewnątrz ktoś czeka.

Włożą ostatnią szatę. Oddadzą rodzinie.
Bliska data pogrzebu jak noc niedaleka,
spłakany Twoją stratą zbyt szybko przeminie.

TREN III

Matko, przestało dla nas istnieć słowo *Razem*.
Zmarło ono w cierpieniach minionej niedzieli,
a jutro czarny kondukt na zawsze rozdzieli,
gdy uklęknę pierwszy raz nad grobu ołtarzem.

Jeszcze mi czas przechodni włosów nie wybielił,
a już martwym pochodem za trumną iść każe.
Myśli krzyżami ptaków fruną nad cmentarzem
i odmierzają przestrzeń, która będzie dzielić.

Przechadzam się w pamięci tą minioną dobą,
szukając nadaremnie chwil, kiedyś mnie biła.
Słów-pocisków, co kłótni były złą ozdobą,

ale nie chce popękać mej rozpaczy bryła.
Dziś wyznaję ze wstydem, tu przed samym sobą;
nie było jednej chwili, byś mi zło czyniła.

TREN IV

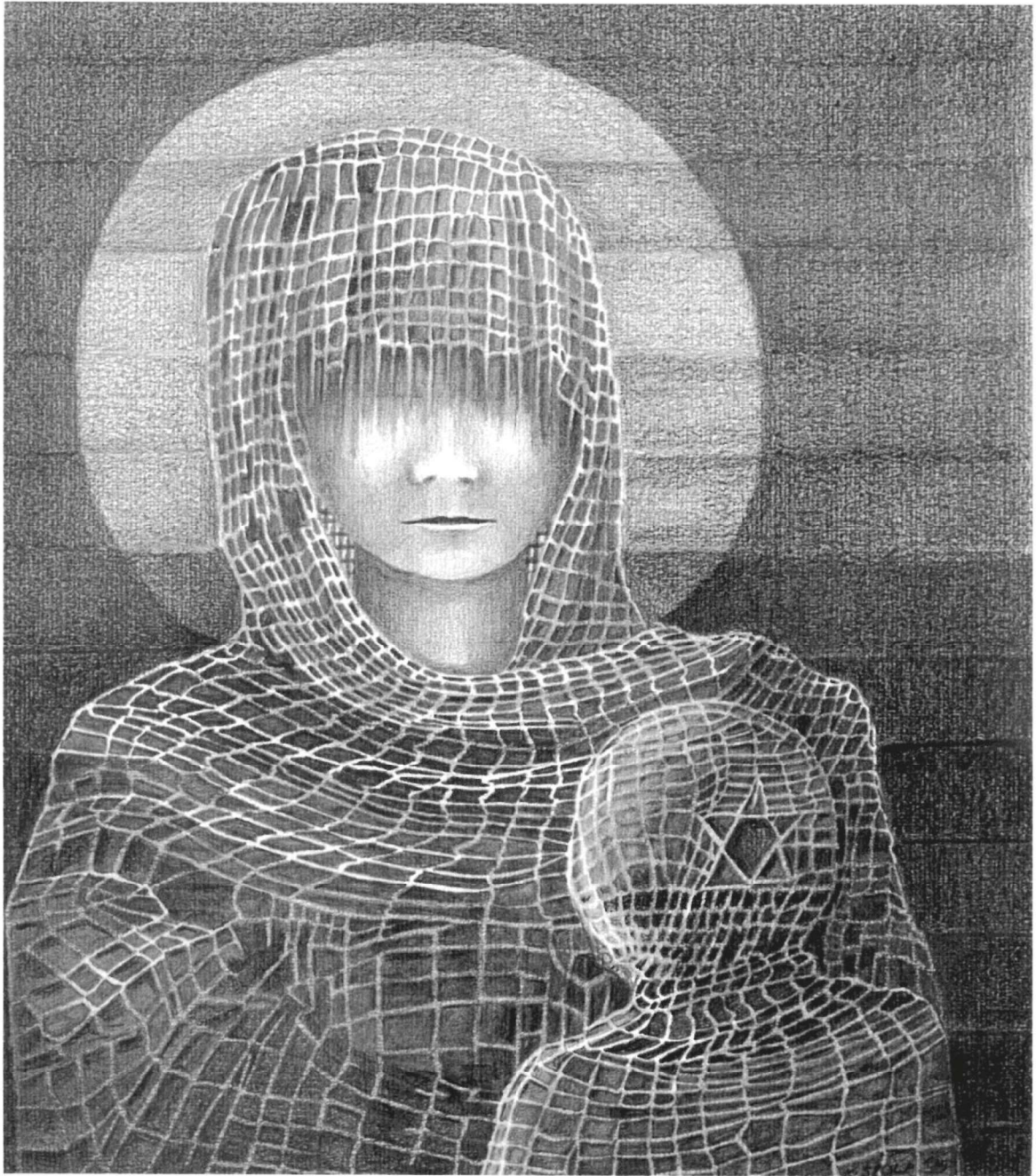
Matko, zbudziłaś mnie dziś dotykiem w policzek.

Spłynęła na mnie jasna i głęboka wiara,
że się nowych, przyszłych dni odstani kotara,
a dłonie Cudotwórcy przywrócą Ci życie.

I byłem nieświadomy tej ciszy zegara,
kiedy serce tak nagle ustało swym biciem.
Miałem nadzieję dziecka, iż przyjdzie Zbawiciel
i podobnie jak lekarz, też będzie się starał.

Ale za chwilę ojciec u drzwi moich stanie.
Jego męska duma też łzom się nie oparła.
Czyżby próżne modlitwy i wszelkie starania?

Blednie w progu pogodnych mych nadziei aura.
Zrozumiałem już wszystko, lecz stawiam pytanie.
Drogi synu, twa Matka nocą w bólach zmarła.



TREN IX

Matko, chciej nawiedzać snem moje puste noce,
kiedy światło wspomnień śnić nie daje powiekom.
Otocz mnie jak dawniej swych dłoni opieką.
Przed chłodem tego świata okryj ciepłym kocem.

Wprowadź w baśni naiwnej krainę daleką.
Napełnij moje dłonie dojrzałym owocem,
a minione tygodnie o lata odroczę.
Wtedy znów twoje usta *Dobranoc* mi rzekną.

I sennym jak marzenie splotyń na mnie obłokiem,
pośród grobowej ciszy, którą Tobie dano
I jeszcze raz spójrz na mnie swym troskliwym okiem.

Pogładź zmęczoną dłonią czuprynę kochaną,
a uśpiony pierwszy raz Twym cichnącym krokiem,
znowu uwierzę Matko, że mnie zbudzisz rano.

TREN XVI

Matko, usiądź przy łóżku w kącie obok pieca.
Ogrzeję Twoje dłonie czarnej kawy szklanką.
Lampa rzuci jak zwykle nasz cień na śłomiankę.
Figlarny blask do oczu będzie się zalecał.

Swych barwnych opowieści odślonisz firankę,
jaką była pogodną Twa młodość kobieca.
To nic, że sierp księżycy już dawno uleciał,
a dzień w otwarte okno spogląda porankiem.

Być może jego światło wyostrzy wspomnienia
i to, co chciał dziś zabrać, odda nam po trosze,
kiedy lampa Twojego już nie rzuci cienia.

Tak jak dzisiejszej nocy pustych ścian poproszę,
aby mi przywróciły te chwile wzruszenia.
Ależ Mamo! To nie łzy, to jest tylko groszek...

TREN XXIV

Matko, po raz kolejny niosę świeże kwiaty;
drobne czerwone róże, żółte tulipany
i kładę ponad splotem dłoni zasypanych.
Tak mogę wdzięczność syna wypłacać na raty.

Chylę nisko na ziemię mój wzrok zadumany.
Rzęsy stały się dla łez nieprzebytą kratą.
Otwieram oczy, wilgoć rozrzucam bogatą.
Cedzę przez samotności podarte łachmany.

Bo przecież jesteś obok, jakże bardzo blisko.
Pod mym zgiętym kolanem, to myśl niepojęta.
Pod gładzącą grób ręką schowana tak nisko.

Już wzruszona tą chwilą piecze w gardle mięta.
Chciałbym zapalić z ojcem domowe ognisko,
więc pukamy do krzyża, lecz trumna zamknięta.

TREN XXV

Matko, kolejne kwiaty sadzę na mogile.

Niechaj czerpią garściami barwę z Twej sukienki.

Może korzenie sięgną różańca lub ręki,

kiedy mój płacz, jak zwykle, przybierze na sile.

Gdzie przybite gwoździami lśnią na krzyżach męki,

w bólu równych szeregach, w słońca jasnym pyle

i kłują głuche niebo snu drewniane szpile,

a na każdej jest Chrystus jak z jednej foremki.

Martwe, wyschnięte krzyże to tylko symbole,

a każdy zamiast z wiarą, ze śmiercią kojarzę,

ze wskazówką zegara w swym obłądnym kole.

Stoją krzyże jak wojsko na pamięci straży,

więc pytam, czy do Boga należy to pole

uprawiane nocami rękoma grabarzy ?

TREN XXX

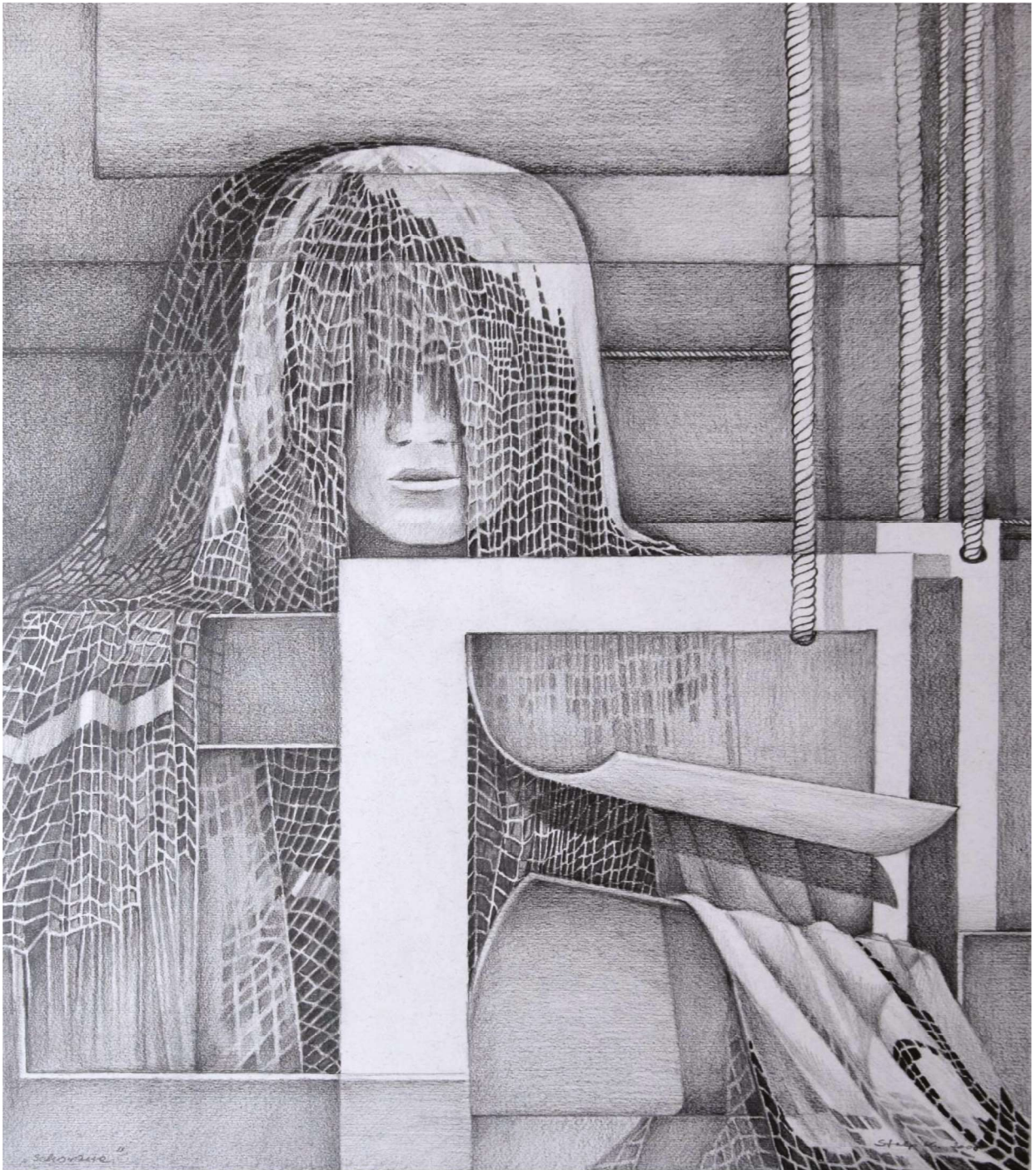
Matko, wspomnienie domu woskiem się przelewa
i dzieciństwem wypełnia mi oczy po brzegi.

Płynie zieloną strugą, gdzie krzyży szeregi
zapomniały już dawno, z jakiego są drzewa.

Kwiaty mokre od deszczu, rosną rdzawe piegi.
Gniją na grobie w smutek, co rankiem dojrzewa.
Zanurzam dłonie w piachu, jałowych już plewach.
Łudzę się, że dosięgną zmarszczek kręte ściegi.

Wiosenny deszcz strugami ciepło grobu nęka.
Kropla jedna za drugą ziemię ciągle drąży,
gdzie usycha po stokroć całowana ręka,

gdzie śpią wielbionych skroni skamieniałe brązy.
Winny, po raz kolejny ponad nimi klękam,
pefen bolesnych myśli, bom wdzięczny nie zdążył.



TREN XXXIII

Matko, powiedz mi szczerze, o czym szepczesz listkom
opadłym jak kobierzec na Twoją mogiłę?
Dzisiaj każdy z osobna do oczu nosiłem,
ale nieodczytane pozostały wszystkie.

A na ich zwiędłych ścieżkach myśli me zawite,
że jestem tak naprawdę Ciebie bardzo blisko,
że rozdziela nas tylko śmierci Twej urwisko,
co odebrało oddech, nadzieję i siłę.

Próbę każdego słowa rozpacz dławii szczerą.
Dlaczego moja gwiazda nie gaśnie na niebie?
Zawsze jest dobra pora z miłości umierać.

I zawsze jest dobrze żyć w miłości potrzebie.
Lecz kto mi, samotnemu, serca pootwiera,
gdy zabrakło mądrości płynącej wprost z Ciebie...

TREN XXXV

Matko, wiem, że moich słów nigdy nie usłyszysz.
Śmierć na spękanych ustach zimne palce kładzie
i listopadowy szron nad krzyżem ma władzę,
który skrzypieniem jak świerszcz smutek mój kołysze.

Kolejny dzień urodzin mija w listopadzie.
Niestety, pusty wazon stoi dzisiaj w niszy.
Zamiast serdecznych życzeń jest minuta ciszy,
gdy Twoje fotografie do snu odprowadzam.

Tam właśnie wyobraźnia czasem Cię zobaczy,
jak idziesz zmęczona wolno w moją stronę,
by jak dawniej zapytać: *Jak dziś było w pracy?*

W rodzinnym powitaniu ręce znów złączone.
Matczyny pocałunek czoło ciepłem raczy.
Gdzie możemy pójść razem, gdy schody skończone?

TREN XXXVI

Spójrz Matko, zimną gwiazdę Wigilia zapala.

U sąsiadów za ścianą łamią się opłatki.

Tylko mój ciągle cały, bez rysy i gładki

wspomnienie nagłej śmierci swą bielą wyzwala.

Z moich oczu do barszczu proszą szone płatki,

a na jego dnie milczy pusta, biała sala.

Widzę teraz dokładnie, to jest biel szpitala

biała jak ta Wigilia, biedna brakiem Matki.

I milczy również ojciec, wspólnych wspomnień łowca,

zadumany nad życiem mądrością człowieka.

On też jak ja nie ruszył kupnego makowca.

Na chwilę nasze myśli wracają z daleka.

Darmo tego samego czekamy wędrowca,

a z nami do północy pusty talerz czeka.

TREN XXXVII

Matko, choć bardzo pragnę, dotykiem nie trafię.
Nigdy mnie też twój uśmiech ciepły nie przywita.
Dziś błędzę we wspomnieniach i dziecięcych mitach
wdzięczny komuś, kto zrobił stare fotografie.

Rozsypało się życie jak kula rozbita,
Twoje martwe sukienki wciąż wiszą w szafie.
Oderwać od nich oczu jeszcze nie potrafię.
Jak mam ulżyć wieszakom, by potem nie pytać?

Dlaczego ciągle sypiasz w szpitalnych koszulach,
co wchłaniały sól bólu wilgotne mym licem?
Ja ciągle jeszcze słyszę, jak idziesz o kulach

i codziennie wybiegam z domu na ulicę,
ale zamiast Twoich rąk płomień mnie otula,
a zamiast żaru oczu, palą się gromnice.

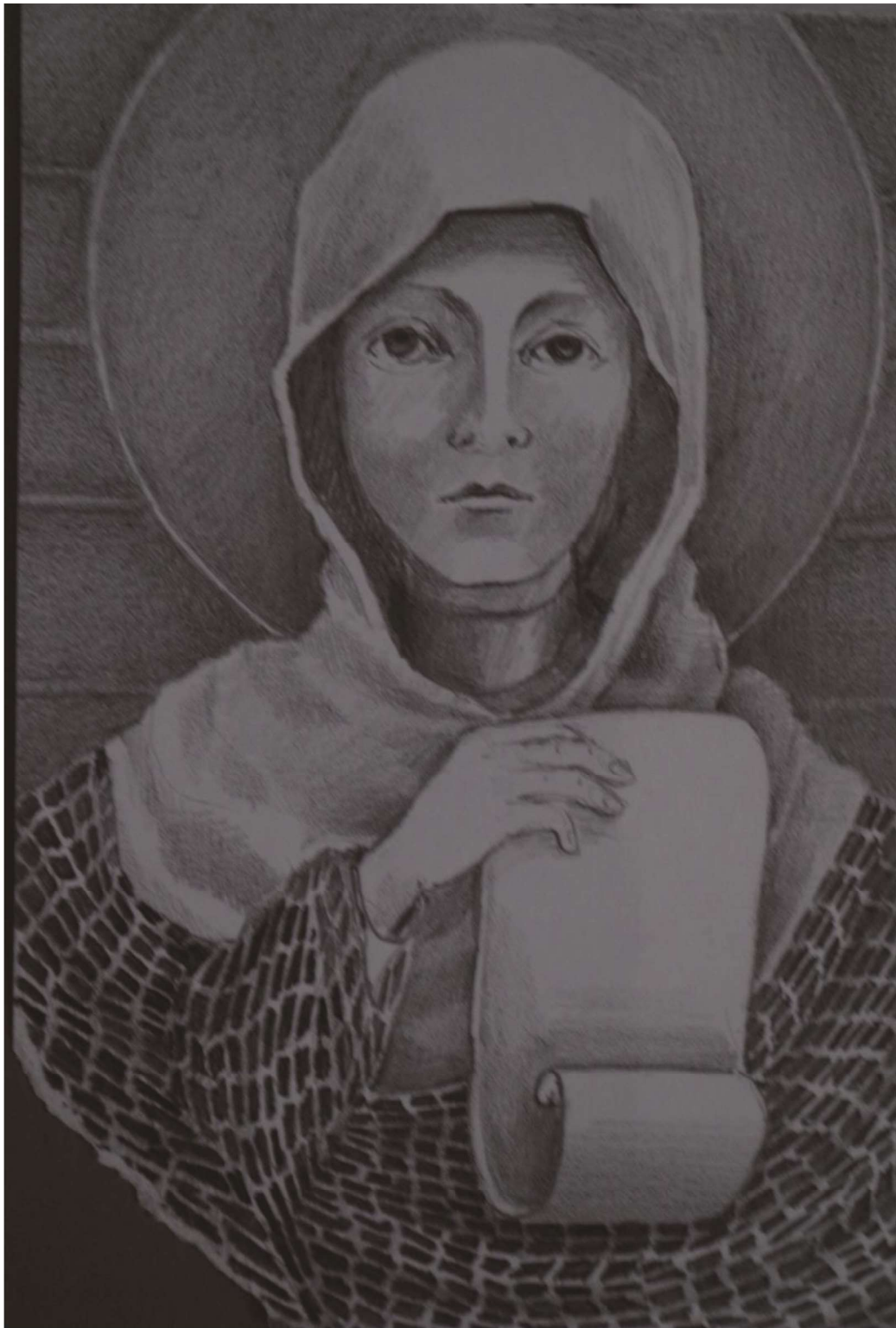
TREN XXXVIII

Matko, idę pod górę tą utartą drogą
udowodnić sam sobie, że ciągle pamiętam.
Witomińskie spotkania to milczące święta,
gdy nawet jednym słowem przemówić nie mogą.

Struna srebrnego płaczu mym tkaniem napięta
każe paść na kolana wciąż zmęczonym nogom.
Kleczę więc nad mogiłą jak życie mi drogą.
Dotykam dłonią ziemię w kamień zamarznąętą.

Gdy matczyna mogiła w grubym śnieżnym futrze
wspomnieniem staje w oku każdego wieczora,
spokojne sny zamienia w nocę coraz krótsze.

To już nie są marzenia w młodości kolorach
o szczęśliwej rodzinie, o radosnym jutrze
skoro wszystko co miałem, było ledwie wczoraj.



TREN XXXIX

Matko, każdy zwykły dzień staje się rocznicą
w naszym pustym mieszkaniu pełnym zgastych myśli.
Tylko to, co pamiętam, co czasem się przyśni,
przywraca kolor życia Twoim bladym licom.

Już spalone są mosty, cośmy nimi przeszli
i niedługo płomienie obu brzegów chwycą.
Zapłonie Twoja postać cmentarną gromnicą,
spopieli srebro włosów i ust barwę wiśni.

O twych włosach i oczach zapomniały lustra,
wzrok tylko fotografiom spleca dawne długi,
ściśnięte na nich dłonie zawsze wewnątrz puste.

Bólem rozwieram palce zostawiając smugi.
Smakiem Twego obiadu na spękanych ustach
próbuję mnie oszukać bar szybkiej obsługi.

TREN XLII

Matko, czy już skończona twoja pierwsza rola
na wytrwałej, kamiennej macierzyństwa scenie?
Maski pełne uśmiechu zmienione w cierpienie.
Szczęście jak kamień w wodę. Po nim tylko koła.

W Twych dłoniach nie ożyją perłowe grzebienie.
Nie strzelą iskrą w lustro. Taka Boga wola.
Zamilkły naszym krokiem urodzajne pola.
Słoneczniki nie schłodzą naszych czoł swym cieniem.

Twa gwiazda jak marzenie zgasła gdzieś na niebie,
ale na starych mapach wciąż jeszcze się pali,
spogląda na kołyskę, w której mnie kolebiesz.

Przyświeci mi w tej drodze, gdy kiedyś w oddali
ktoś umrze pocałunkiem zimą na pogrzebie,
bo grabarz kochaną twarz krwią ziemi przywalił.

TREN XLIV

Matko, suchym korytem płyną moje słowa.
Zatrzymałem się w biegu, w snach zwiędłych podróży.
Moje młdzieńcze ramię już Tobie nie służy.
Okłamała nas na drzwiach przybita podkowa.

Obrastam chłodny pomnik krzakiem dzikiej róży.
Sosną spoglądam na krzyż. Pod nim Twoja głowa.
Splecionych dłoni z wosku martwa biel surowa
ocieka ciepłym piachem i jak deszcz się dłuży.

Wilgoć nieba czy oczu wciąż pomaga kwiatom.
Pytam poza cmentarzem, gdzie tkwi moja wina.
A Bóg się zastanawia, co sam ma rzec na to.

Wiatr przygniata płomienie. Tani krzyż wygina.
Coraz zimniejsze dłonie karmią się utratą.
Uczę się słowa *Matka* jak ból zapominać.

TREN XLVII

Matko, przede mną słoik zaprawionych wiśni.
Wilgotne snu dotykiem, rosną w moich ustach.
Wypluwam twarde pestki i odpawiam gusła,
i ciągle setka pytań na usta się ciśnie,

ale nie odpowiadasz. Kuchnia nadal pusta.
Zamykam więc powieki, może wiedzę wyśnię
i wszędzie ona rano jak wiosną przebiśnieg.
Ukarąłeś mnie za to, że ma wiara uschła.

Nie wiem, co to za siła o ścianę mną rzuca,
podcina w biegu nogi, bym padł na kolana
i tylko ciszę wokół milczeniem wykłóca.

Powiedz, gdzie się ukrywasz Matko ukochana?
Gdy inne nadal mają ciepły oddech w płucach,
Ty go dziś utraciłaś. Zostałaś wybrana?

TREN XLIX

Matko, zbiełały kości pod śnieżnym sześcianiem.

Błyszczą iskrą guziki w popiele nagrobnym.

Rano budzi się rosa jak zmartwienia drobna,

pełna nadziei ze snu zbudzić Cię nad ranem.

Kwiaty schylone mrozem w godzinie osobnej

czerwienią sztywnych płatków, atłasu ekranem

pragną ukryć przed chłodem Twe oczy splekane,

gdym pozostał nad grobem do Ciebie podobny.

W podszytych troską oczach wciąż matczyno jasnych,

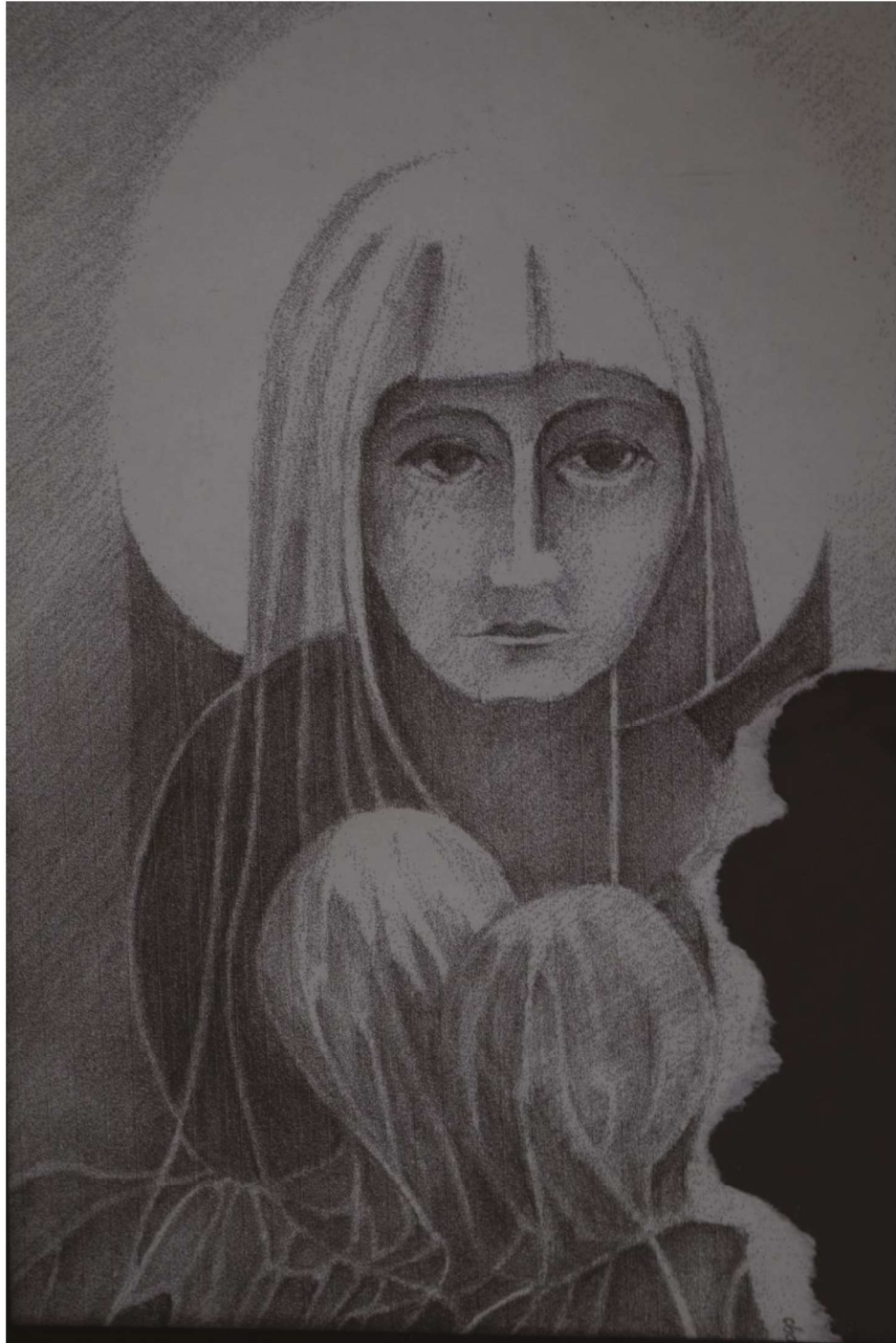
w które wkładała palec ślepa dziecka ręka.

Do twoich wspomnień niczym moich własnych.

Powiedz mi szczerze Matko, jakże tu nie klękać

u zimnych, śnieżnych źródeł Twych oczu wygasłych,

gdy trumna w twardej ziemi od mrozu już pęka .



TREN L

Matko, kopczyku ziemi, wymarła kraino
utraconych na zawsze dziecięcych całowań,
oziębła garści piachu, dotykem deszczowa,
powstrzymaj moje oczy, nim w mogiłę spłyną.

Nocna cmentarna cisza bezludnie jałowa
wyszeptanej modlitwy, pokory przyczyną.
Zaciskam krzykom usta i duszę się winą,
przerывam nagim drzewom szumiące półsłowa.

I kłuje moje uszy milczenie sosnowe,
potem opada nisko, liże chłodem stopy,
gdzie pająki u grobu utkały osnowę.

Gdy prostokąty mogił kapuśniak pokropi,
otulę dłońmi znicze spalone w połowie.
W jednym się jak desperat świerszcz polny utopił.

TREN LII

Wzniesiemy prosty kamień, a rzeźbiarz pomoże,
nanosząc dłutem słowa memu sercu bliskie.

Będzie zwykłe lastryko domowym ogniskiem
i znowu będzie ciepło jak dawniej. Być może.

Zapłoną cztery świece pamięci przebłyskiem.

Klęknię przy grobie nisko, gerbery położę.

Spojrzę wysoko w górę, z nadzieją mój Boże,
że Jej snami wymościsz kamienną kotyskę.

Już mnie skrzypienie krzyża drewniane nie wita,
o blaszaną tabliczkę kropla nie zadzwoni.

Ciężki, kamienny ciężar mych czułych powitań

każdej jesiennej nocy samotnie się skłoni.

Przechodząc obok grobu, powoli przeczytasz:

Zabrana do bram nieba w cztery pary koni.

TREN LIV

Spomiędzy żółtych liści wyrasta cichy dom,
gdzie okna dosięgają otwartych nieba bram.

Białe lastryko stołu spija sól zimnym łzom,
gdy w wigilijny wieczór opłatek łamię sam.

Tu daję się obudzić chłodnym porannym mgłom,
nim grabarze rozłożą szczerbatych łopat kram.

Nim przybędzie na ten brzeg kogoś ostatni prom,
pełen świeżych kwiatów i czarno ubranych dam.

Kolejny raz usłyszę kilka wyrwanych mów.

Zapachnie las różami albo majowym bzem
i zabraknie w oczach łez, w gardle zabraknie słów.

O brzeg mokrego dołu trumna uderzy dnem
i powrócą obrazy z naszych najgorszych snów,
gdyśmy lecieli w światło po torze nocnych ciem...

EPILOG

Zasnęłaś już, Matko, ukołyszana bólem,
który się zatrzymał pod powiekami okien.
Jeszcze tylko księżyc snu szpitalną koszulę
przytuli do ciała, może śmierć przejdzie bokiem.

Niechaj Ci się przyśnią kolorowe motyle,
co jak do modlitwy skrzydła składają na noc.
Uśpiona na zawsze w zimnej, kamiennej bryle,
śpij kochana Mamo...Dobranoc.

